

Szkoda, że nie umiesz śpiewać

Przełożyła Izabela Zając

W nocy śnieżyło, po cieplejszych dniach nadeszło ochłodzenie, pewnie obudziło się na tę nieoczekiwaną zmianę zabarwienia powietrza, na podmuch spóźnionej bielei, zdziwiona podeszła do okna, podniosła żaluzje, nagle świat wydawał się czystszy, tylko miejscami białą pokrywę naruszały ślady butów, taki wybielony obiecywał to, w co nikt już nie wierzy, podwórko pokryte cienką warstwą śniegu, w domach naprzeciwko ciemność, tylko lampy na podwórku rzucały cień na biel ograniczoną murami, nagle zauważyła pieska sąsiadki, zupełnie maleńkiego, zawsze wyczesanego, zadowolonego, Sofinka biegała wokół drzew, później zaczęła kręcić się w miejscu, próbując chwycić zębami ogon, córka niedawno jej powiedziała, że od Sofinki wprost bije szczęście, prawie zawsze się uśmiecha, jakby chciała się odezwać, powiedzieć coś dobrego, radosnego; uszczęśliwiony piesek nagle zwałił się na śnieg, zamachał łapkami, znów podskoczył i pobiegł do najbliższego drzewa, jeszcze chwilę szalał w półcieniu podwórka pokrytego sypkim śniegiem, później zniknął z pola widzenia, prawdopodobnie zawołała go troskliwa właścicielka, rozbawiło ją to, Sofinka i poczucie szczęścia, życiowego, otworzyła okno, do pokoju wpłynął strumień świeżego, chłodnego powietrza, odetchnęła głęboko.

* * *

Według pitagorejczyków o świecie powinniśmy się wpatrywać w niebo, aby przypomnieć sobie ciała, które zawsze poruszają się w ten sam sposób, po tym samym torze, w ich porządku, czystości i braku hipokryzji powinniśmy znajdować ukojenie, harmonię, spokój (chwilami, spoglądając na niebo, pozwala ponieść się dawnym wyobrażeniom o czystości przestrzeni nad sobą, o porządku, którego dotychczas nie zakłóciły żadne rakiety kosmiczne, satelity, skomplikowane urządzenia monitorujące, wyobrażeniom o nieskalaności i stałości: o czasie, kiedy wierzono w surowy determinizm niepodważany przez żadne teorie względności, wiara, którą człowiek otrzymywał w darze we wczesnym dzieciństwie i nie tracił jej nawet u schyłku życia, wieczór w wieczór przed snem mógł powtarzać jako w niebie, tak i na ziemi, teraz i zawsze i na wieki wieków, amen).

* * *

Siedzi w częściowo opustoszałym przedziale pociągu *Eurocity*, przez chwilę czyta, później śledzi umykające za oknami drzewa, krzewy, łąki i pola, podekscytowanie wywołane obserwacją rzeczy, które znikają w przeciwnym kierunku pozostało jej z dzieciństwa, podekscytowanie, które nadal ją ogarnia tuż po wejściu do pociągu, spojrzenie na tory,

kiedys ojciec tłumaczył jej na ich przykładzie perspektywę, od tego czasu z torami kojarzył jej się Leonardo, malarstwo renesansowe, do tego tematu okazjonalnie powracała w trakcie wykładów, socjokulturowe uwarunkowania postrzegania zmysłowego, to jeden z jej ulubionych tematów, „milczenie ksiąg i ich niewypowiedziana modlitwa”, właśnie czyta esej, którego autorem jest rumuński filozof Gabriel Liiceanu, milczenie (cisza) ksiąg, fascynujące już Platona (doniosłe, godne milczenie tekstów, o którym mówi Sokrates w *Fajdroście*), „kiedy patrzę na ścianę pokrytą półkami książek”, czyta dalej, czyta i chce wykrzyknąć na głos, siedzi w wygodnym EC, pociąg bezgłośnie zbliża się do Pragi, a ona trzyma na kolanach rozłożony najnowszy numer „Revue literatury światowej”, można powiedzieć, że kolega po fachu, rówieśnik, profesor uniwersytetu w Bukareszcie, literat, o którym dotychczas nie słyszała, napisał prawie identyczne zdanie, szyk może nieco inny, poszczególne słowa też mogą się różnić, ale zdanie jako całość wyraża to samo, „kiedy patrzę na ścianę pokrytą półkami książek”, ogarnia ją dziwne poczucie, mieszanka radości i smutku, oryginalność faktycznie nie istnieje, powtarzamy się, czasami świadomie, kiedy indziej nieświadomie, powtarzamy po sobie i innych, przywołuje w myślach zdanie z rozpoczętego tekstu, wynurza się z pamięci, za oknem rozciąga się panorama Pardubic, a ona próbuje przypomnieć sobie zdanie, które czeka na nią w domu w komputerze (to właśnie to zdanie, myśli, patrząc na zbliżające się miasto, jest już niemal pewna...), po powrocie do domu porównuje oba zdania, a także kolejne, o nieśmiały, czekających książkach (nie sposób stwierdzić, kto jest oryginałem, a kto kopią, igły gramofonu poruszające się po ograniczonej liczbie rowków, czytający, żyjący, piszący, powtarzający się, we wszystkim, także tekstach, osady w pamięci, powtarza w duchu wyraz, który coraz częściej przychodzi jej do głowy), przez cały czas spędzony w Pradze prześladowa ją myśl o tych kilku zdaniach obnażających podobieństwo, przypadkowo odkryte pokrewieństwo, o którym ten drugi się nigdy nie dowie, chodzi ulicami miasta i zastanawia się nad możliwym podobieństwem z przechodniami, których mijają.

* * *

Kiedys miała marzenie: wstąpić do chóru, połączyć swój głos z innymi głosami, zespolić się z nimi, przez Monteverdiego, Bacha, Rachmaninowa, ojciec nieraz jej opowiadał o przeżyciach z chóru, w którym śpiewał, był to znany, choć amatorski chór, ale to nieistotne, ważna była możliwość zespolenia się we współbrzmieniu (to słowo od razu jej się spodobało, jak tylko je zanotowała, tak bardzo, iż miała wrażenie, jakby się, choćby na chwilę, zbliżyła do siebie, do pierwszej osoby, żeby jak najlepiej, w jak największym stopniu móc się nim delektować): jestem częścią interwałów, wkomponowanym harmonicznym bytem, Italo Calvino opisuje w jednym ze swoich najlepszych opowiadań pragnienie, by stać się głosem, wyjątkowym, którego nie sposób pomylić z żadnym innym: przemienić się weń, spotykać się z innymi głosami, łączyć się z nimi, szkoda, że nie umiesz śpiewać, mówi w tym samym opowiadaniu autorski narrator do protagonisty-króla: gdybyś umiał śpiewać, twoje życie być może potoczyłoby się inaczej, byłbyś szczęśliwszy; lub smutny innym smutkiem, harmonijną melancholią, chodziła

na koncerty i wyobrażała sobie, że tak naprawdę jej miejsce jest gdzie indziej, potrafiłaby dokładnie określić to miejsce, pierwsza z prawej w trzecim rzędzie, może trochę przypominała wokalistkę, która zajmowała to miejsce, może to przez okulary zauważyła to podobieństwo, albo sobie to wszystko zmyśliła, tak jak wymyśliła sobie siebie w tym miejscu, trzeci rząd, pierwsza z prawej, widziała się tam oczyma wyobraźni, z partyturą w dłoni, z na wpół przymkniętymi oczami, aby mogła czytać nuty, a jednocześnie jakby miała zasłonę, za którą może się ukryć, chciała być obecna tylko głosem, nieobciążona innymi częściami ciała, żadnym słowem ani opowieścią, chciała się cała skulić w tony, jak najbardziej się do nich zbliżyć, przemienić się weń, szkoda, że nie umiesz śpiewać... byłbyś szczęśliwszy (albo smutny, ale innym smutkiem).

* * *

Warstwy pamięci nieoczekiwanie wprowadzone w ruch, poprzesztawiane, nagle wychodzą na powierzchnię, plączą się z nowszymi wspomnieniami, nie istnieje czas ani przyczynowość, powód miesza się ze skutkiem, istnieją tylko sieci zużytych, na wpół zapamiętanych odcisków w pamięci, która w końcu też się zaczyna chybotać, migać w nieregularnych amplitudach, zupełnie niespodziewanie wykraczając poza wszelkie konwencje, przed oczami zjawia się postać dawnej koleżanki z klasy, która po maturze podjęła pracę w jakimś laboratorium, którą pierwotnie jej obiecywano, obie musiały zasłużyć na lepszą opinię, aby otrzymać rekomendację do podjęcia studiów wyższych, w pierwszej chwili żałowała, że A. ukradła jej tę posadę, później znalazła inną, może nawet ciekawszą, więcej o tym nie myślała, a po roku dowiedziała się, że A. miała w laboratorium poważny wypadek, wszczęto śledztwo, czy stało się to z jej winy, czy też może przyczyną było niewłaściwe podłączenie aparatu, którego używała, gdy myśli o zmarłej koleżance, ogarnia ją poczucie dziwnego rozdwojenia, jakby jakąś cząstką siebie sama umarła, zastanawia się, czy doszłoby do wypadku, gdyby to ona tam była (zrządzenia losu w decydujących sytuacjach życiowych, niezdolność oddzielenia we własnej narracji tego, co mogło się stać od tego, co nieuniknione).

* * *

„... nie pisać/ po to, by żyć,/ nie żyć/ po to, by pisać//”

spodobał jej się ten wiersz już po pierwszej lekturze, przeglądała nowy tomik, który Ilse wysłała jej z prośbą zorganizowania prezentacji w niewielkim wiedeńskim muzeum, nie zawahała się przy tej propozycji, pomyślała, że właśnie ten wiersz mógłby się stać motywem przewodnim jej przedmowy, miały już kiedyś wspólną prezentację w tym muzeum niedaleko katedry, do tej pory w uszach rozbrzmiewają tony celtyckiej muzyki (muzyk, przyjaciel Ilse, po prezentacji opowiedział historię swojego niezwykłego instrumentu, w jak przedziwny sposób wszedł w jego posiadanie), „pisać,/ aby znaleźć kogoś,/ kogo nie sposób/ odnaleźć/ ...”.

* * *

Im jest starsza, tym dotkliwiej odczuwa zmiany pogodowe, również te, których jeszcze nie widać, dni, kiedy na słonecznym niebie nie ma ani jednej chmurki, nawet liść na drzewie nie zadrży, tylko w jej głowie narasta szum, nabiera na intensywności, nasila się tak, że prawie nie rejestruje dźwięków z zewnątrz, skupiona na wirowaniu, tępych uderzeniach w ciemność, jakby tam, w tym jednym miejscu skupiało się napięcie całego świata, jakby miał tam nastąpić wielki wybuch, wyrównanie różnic ciśnienia, które sprawiają, że jej skóra wibruje, różnic, które szarpią myśli i rozbudzają zmysły, w takie dni mawia: jakby coś się miało wydarzyć, coś wisi w powietrzu, chyba burza, z niedowierzaniem pokazują czyste niebo, a ona powtarza, burza, oddycha nią cała atmosfera, być może, mówią, pięćdziesiąt kilometrów stąd, a może jeszcze dalej, kiwa głową, ale to nieistotne, dodaje, czuje ją, jakby ruchy atmosferyczne odbywały się w jej wnętrzu, napinały komórki, drżące w rezonancji, jakby ona sama była regulatorem przetwarzającym bodźce z zewnątrz, odbierającym falowanie z otoczenia, poddającym się ich naporowi, jakby przez lata organizm szczelniej zamykał się w środku, w tym, skąd pochodzi i dokąd zmierza, do miejsca powrotu, jakby napięcie w jednej części przenosiło się na inne, jakby każda szczelina mnożyła się, jakby wszystko we wszechświecie było połączone, splecione dziwnymi niewidzialnymi nićmi, jakby się wszystko ze wszystkim wiązało, związek umacnia się, być może w ten sposób sygnalizuje koniec wędrówki, powrót jednostkowej cząsteczki do swoich źródeł, zamknięcie łuku, po którym się porusza, zniesienie różnicy między cząsteczką a całością: fragment, który rezygnuje ze swej autonomii, choć tak długo do niej dążył, upatrywał w niej swego celu; całość, która otwiera się na swoje elementy, wybrane na nowo przywiązuje do siebie, aby się przez nie odnawiać, przecucie powrotu, nowego zjednoczenia, tak jak często na spacerach po lesie rozprawiła jej mama: o zbliżaniu się do Jedynego, tam zmierzamy, każdy w swoim czasie i na swój sposób (przypuszcza, że istnieją o wiele racjonalniejsze wytłumaczenia wrażliwości na pogodę, ale ona stworzyła właśnie to, trochę śmieszno-naiwne, dla niej najbardziej wiarygodne).

* * *

Naraz człowiek zaczyna świadomie postrzegać swoją biografię, kiedy ogarnia go pragnienie, by z rozmysłem ją tworzyć, nagle się okazuje, że pewnych wydarzeń nie powinno w niej zabraknąć, ponieważ bez nich jest niepełna, jakby niedokończona, niegotowy repertuar przeżyć, doświadczeń, odczuć i kto wie czego jeszcze, marzenie: podporządkować pozostający czas uporczywie nasuwającej się wizji biografii (którą nosi w sobie jako pewien model, schemat, wzór?), wnosić do powszedniości choćby elementarne kontury wymyślanego schematu.

* * *

Pewnego wieczoru odkrywa w lustrze nowe pasemko siwych włosów, czas coraz bardziej przyspiesza, pozostawia niewidoczne ślady, nagły przebłysk alternatywy: *Langsamer*

Träumen, napisał niemiecki poeta (stało się to tego samego wieczoru czy któregoś z kolejnych?), czytała ten wiersz przed snem, kilkakrotnie, słowa, jakby namacalne w niej samej, w głębi słabo oświetlonych warstw, do których trzeba się było ostrożnie, delikatnie zbliżać, żeby nie rozpułyły się przedwcześnie, nie umknęły jej wyciągniętym palcom, wreszcie pozbyć się wszelkiej popędliwości, uwolnić się od niej, dążyć do wyciszenia, marzyć wolniej, napisał Harald Hartung, zupełnie lekko, przemyka jej przez myśl na krawędzi świadomości, tak powoli i cicho, że lewie mogłaby usłyszeć oddech własnego snu.

* * *

Przed nimi miska jabłek na kuchennym stole, tym razem nie rozmawiają, porozumiewają się milczeniem, ruchami noża w dłoni, spojrzeniami na czerwień skórki jabłka przechodzącą w żółć, zieleń, na biały, jasnoróżowy miąższ, z którego wypadają czarne pestki, sugestywne zacisze z rozkrojonymi jabłkami, przemyka jej przez myśl, zaraz potem przychodzą słowa, których zupełnie się nie spodziewała, nie w tym momencie, „karminowy idared/ pokrojony na ósemki/ (zraniony okrąg pod postacią identycznych cząsteczek), / gasnąca czerwień ubolewa nad utraconą jednością”, nazywa się to autoprojekcją, myśli dalej, autoprojekcja, co więcej, do jabłka, rozczwartowanego, tuż przed snem próbuje powtórzyć słowa, wpadły jej na myśl przy krojeniu jabłek, tekst, który z czasem być może przemieni się w wiersz, przyznaje, że nie wie, w którym momencie można zacząć mówić o wierszu, nie wie nawet, co to wiersz (czy istnieje jakaś definicja wiersza *a priori*, w ogóle jakiegokolwiek gatunku poza konkretnym dyskursem), jeszcze z nożem w dłoni przyjmuje kolejne słowa, które ostrożnie zbliżają się do niej z półmroku pokoju, „nachylam się nad westchnieniami/ zroszonego potem miąższu/ ze skrucną (całkiem po cichu)/ liczę czarne pestki, znamiona nostalgii/ rozrzucone po dnie ceramicznej misy/ po środku naszego ogrodowego stołu/”, tego wieczoru naprawdę nie martwiła się tym, czy przychodzące do niej słowa, splotą się w tekst, który będzie można nazwać poetyckim, siedzieli w kuchni i kroili jabłka, w milczeniu, z poczuciem, że właśnie tak powinni spędzić wieczór, że to właśnie ta czynność, na której powinni skupić...

* * *

Kiedy nieraz całymi tygodniami nie może się wybrać do lasu i wreszcie któregoś dnia z niecierpliwością wchodzi na znaną ścieżkę, ze zdziwieniem zastanawia się, jak mogła tak długo wytrzymać bez tych drzew, bez spojrzenia na konary przecinające niebo, bez dotyku kory swojego ulubionego podwójnego buka, rozłożystego, majestatycznego, a jednak narażonego na zranienia (przed laty ktoś zadał ranę jednej części pnia, ale poddał się, zraniona część rosta wolniej, pochylona), podwójny buk uznawali za swoje drzewo, już od dawna, ich rodzinne; należał do nich przez lata, dekady, mąż znalazł jakiś preparat leczniczy, nacierał uszkodzoną część, co niedzielę szli na przechadzkę do lasu, czasem wszyscy, niekiedy tylko we dwójkę z córką i za każdym razem, kiedy przechodzili koło swojego drzewa, gładzili je albo przynajmniej przemawiali do niego, wyglądało jakby się lekko poruszyło, goiło się, jego zdrowienie przynosiło

jej wiele radości, wprost niewiarygodnym wydaje się, że mogło jej tu tak długo nie być, że dała pierwszeństwo czemu innemu, temu, co niekiedy nazywa obowiązkami, nabiera podejrzeń, że coś pomyliła, wybrała niewłaściwą ścieżkę, sprawy ważne wymieniła na mniej ważne (zgodnie z cudzymi, nie jej własnymi wyobrażeniami, oderwanie od własnego życia coraz bardziej zachodzi jej za skórę), spacerują między drzewami, krętą ścieżką wchodzą na najwyższe wzniesienie, nie spieszą się, dają sobie czas, by nacieszyć się stopniowo odkrywającą się panoramą: przeciwnych wzgórz, polan wśród wyciętych pasów, ruin pradawnego zamku, toku rzeki przed spływem, trochę przyspieszają, aby zdążyć przed zachodem słońca.

* * *

Tak jak u Michela de Montaigne'a, mówi do siebie, czytając jego autobiograficzne eseje: „oszczędzamy wolność swojej duszy i obciążamy ją hipoteką tylko w przypadkach, które są współmierne, skąd jednak pewność, że kryteria współmierności są właściwe, że tym razem się nie myli, jeśli chce podjąć decyzję o pozbyciu się hipoteki, uwolnieniu od zewnętrznej gorączki, od obowiązków, może nawet prestiżowych, ale przede wszystkim zobowiązujących, ma wrażenie, że najwyższa pora skupić się na wnętrzu, wyciszony wzrok coraz częściej kierować w stronę punktów, gdzie przeczuwa środek, poniekąd ruchomy i zmienny, poniekąd stały, właściwie nie jeden, lecz całe skupisko lub osie: tego, co było, co się właśnie dzieje i co wykracza poza trzeci wymiar czasu, to moja metafizyka i moja fizyka (powiedział Montaigne o autoanalizie), najwyższa pora, zauważyć, naprawdę najwyższa, powtarza w duchu, niemal bez kwestionowania”.

* * *

Zadzwoiła do niej koleżanka germanistka, która już od kilku lat była na emeryturze, kiedyś się spotykały, co drugi czwartek w klubie dla niewidzących, wymieniały się przy czytaniu, każda wybierała parę opowiadań, wierszy, czasami wcześniej uzgadniały wybór, innym razem zdawały się na szczęśliwy traf, to były bardzo szczególne wieczory literackie, mieć przed sobą grupę starszych kobiet, gdzieś tam także mężczyzn, choć przeważały kobiety, większość miała na oczach ciemne okulary, słuchali w skupieniu, zagłębieni w słowa, do których inaczej nie mieli dostępu, niektórzy nie widzieli od urodzenia, inni mieli za sobą wypadek lub chorobę, która zabrała im wzrok, z czasem, kiedy upowszechniły się książki dźwiękowe, spotkania w skończyły się, zastąpiły je rozmowy na różne tematy, kursy językowe, Irenka napisała podręcznik do nauki niemieckiego dla niewidzących, z tego powodu nauczyła się alfabetu Braille'a, widywały się od przypadku do przypadku, zaskoczył ją telefon, koleżanka, która całe życie przeżyła samotnie, prosiła ją, żeby do niej wpadła, chciała z nią o czymś pomówić, odwiedziła ją, w dwupokojowym mieszkaniu z książkami od podłogi po sufit, książki w szufladach kredensu, w garderobie, pod tapczanem, wiesz, powiedziała, to już pewne z tą moją diagnozą, muszę się pożegnać z książkami, nie chcę, żeby się po prostu rozeszły, to świat, który tworzyłam przez ponad pół wieku, nigdy nie sądziłam, że tak trudno będzie się z nim

rozstać, myśleć o tym, jak zniknie, co wieczór robię podchody, wyjmuję z regałów książki, o których wiem, że już nigdy ich nie przeczytam, kładę je na kupkę w przedpokoju, a rano, następnego dnia lub kolejnego, klękam przy niej, przrzucam je, i jedną po drugiej zanoszę z powrotem do regałów, w każdej z nich jest cząsteczka mojego życia, o prawie każdej wiem, w jakim momencie ją czytałam, co wtedy przeżywałam, to nie-normalne, mówi Irenka, ale przyznam ci się, klęczę przy tych stosach książek i płaczę, za książkami, a może i za sobą, pomyślałam, że mogłabyś mi pomóc (wspomnienie Sartre-owskiej metafory, która nagle w tym dwupokojowym mieszkaniu samotnej schorowanej kobiety nabiera zupełnie nowego znaczenia, biblioteka jako cmentarz, umierająca biblioteka i umieranie tej, która ją budowała), tamtej wiosny odwiedzała ją przez kilka tygodni, wieczorami, po drodze ze szkoły, segregowały wspólnie jedną stertę za drugą, koleżanka za każdym razem cieszyła się, kiedy mówiła, te chętnie bym zabrała, uśmiechnęła się, chuda, pomarszczona, choroba nieodwołalnie i bezlitośnie się w nią wgrzyzała, z tygodnia na tydzień głębiej, wyraźniej, faktycznie, powiedziała z uśmiechem, przy którym wydawało się, że jest bliska płaczu, że są jakby napisane dla ciebie, nie wyobrażasz sobie nawet, jak się cieszę, że trafią właśnie do ciebie.

* * *

Obraz, jeden z natarczywych obrazów, że życie w jej otoczeniu jest zorganizowane tak, jak sobie wybrali ci, którzy je przeżywają, że ich historie są harmonijne, rozwijają się od określonego punktu, mają swoje fundamenty, oś, która łączy wszystkie, nawet te najbardziej przypadkowe wydarzenia, zespala wyjątkowe, na pozór rozdrobnione, pokruszone, rozpołowione cząsteczki w całość lub choćby daje obietnicę spójności; jeśli pojawiają się szczeliny, szparki czy pęknięcia, to w mocy tych, którzy przeżywają te narracje, jest naprawić, uszczelnić i wygładzić, wyrównać nierówności, wypukłości czy wklęsłości, przywrócić równowagę, przygląda im się z zewnątrz, kurczy się w sobie, wstrzymuje oddech, żeby, przyciszona, nie dała się przytłapać przy tym okradającym spojrzeniu, przygląda się, rozdrobniona, pokruszona, rozłamana, szukająca oparcia, choćby jednego, jedyne punktu (ale może jej obraz cudzych historii to złudzenie, kto wie, czy czegoś podobnego nie miał na myśli Bergson, pisząc, że postrzegamy tylko niewielką część świata zewnętrznego, natomiast z własnych doświadczeń czerpiemy jako z całości), może projekcje dotyczące innych zawsze są tylko częściowo prawdziwe, a częściowo są fikcją stworzoną w oparciu o to, co widzimy, pragnienie nadania sensu, pragnienie jedności, wzajemnie połączone (dwie postaci tego samego pragnienia?)...

* * *

Zupełnie nieoczekiwanie sala szpitalna, leży na łóżku, zaskoczona obrotem wydarzeń, podłączona do aparatu monitorującego, jeśli podniesie głowę i lekko się obróci, może zobaczyć nad łóżkiem ekran, niebiesko-zielony graf, wiele grafów, nieprzerwany, zaskakujący obraz własnego serca, próbuje odczytać jego znaczenie, zrozumieć go, samotność na sali jej nie przeszkadza, zagłębia się w ciszy, w wymuszonym śnie, w środku

nocy ogarnia ją poczucie, że nie jest już sama na sali, otwiera oczy, przez dziurę w ścianie naprzeciwko z dużej odległości śledzi ją ogromne oko, ostro świecące, otwiera się i zamyka, fascynuje ją spojrzenie na prostokąt okna, za którym niemal niezauważalnie przesuwa się obły księżyc, w ciszy sali wstuchuje się w odgłosy własnego ciała, wszystkie te obowiązki, które w ostatnich latach na siebie przyjęła, chęć zrobienia ze sobą porządku, wyznaczenia miejsca dla każdej rzeczy, nie ma znaczenia odległość, którą człowiek pokona, a już na pewno nie prędkość, ważne jest to, co zobaczył w podróży, co przeżył i poczuł, a przede wszystkim: co zrobił, przychodzi jej do głowy jakiś cytat, nie może sobie przypomnieć, z jakiej książki ani kto jest jej autorem (zobaczyć kawałek nieba, wstuchać się w szelest liści w koronach drzew, powiedzieć kilka słów, których ktoś potrzebował, wstuchać się w siebie), jakby pani dziś nie przywieźli, mogło już pani (tutaj?) nie być, oczywiście, nie tylko tu, w ogóle nie być, miganie ekranu nad głową, łamane linie, nieregularne obrazy przesuujące się z dołu w górę, a później znów gwałtownie opadające, ręce unieruchomione rurkami, kablami, wstuchiwanie się w ciało, poszczególne organy, przełamywanie poczucia obcości albo jakiegoś niezrozumiałego zażenowania (to też jestem ja, moje komórki, naczynia krwionośne, zakończenia nerwowe, moja skóra i moja krew).

* * *

Wspomnienie bremeńskiej gotyckiej katedry, przy bocznym wejściu grupka bezdomnych, na wpół leżących na schodach, popijających, przegrzyających, rano, podobnie jak przez cały dzień, a także pod wieczór, schyleni, wyciągający ręce, do katedry weszła dwa razy, uważnie przyglądała się surowym ścianom, przepięknej mozaice na oknach, celom z relikwiami, wyczekująco spacerowała między kolumnami, dotykała opuszkami palców rzeźbionego drewna, dopiero za trzecim razem stało się to, z powodu czego tu przyszła, najpierw organista zaczął cicho improwizować, powoli się rozgrzewał, wspaniały instrument o potężnej sile dźwięku, usiadła w ławce w nawie bocznej, głowa powoli opadała jej na ramiona, przymknęła oczy, na to czekałam, pomyślała, chwila, która jeszcze długo będzie we mnie żywa... z upływem lat uczy się doceniać nawet najmniejszy ułamek czasu, nie mierzyć wartości momentu jego długością, ona traci bowiem na znaczeniu: i nie trwonić go choćby dlatego, że nie sposób go zatrzymać, nieustannie płynie, przemija, intensywność warta więcej niż trwałość... *wer sich nicht auf der Schwelle des Augenblicks niederlassen kann, der wird nie wissen, was Glück ist*, uczy się zanurzać w okamgnieniach, o których pisze Nietzsche, zatrzymać się w nich, poddać się ich pełni, choć ulotnej, nieuchwytej („...kto nie umie zatrzymać się na progu chwili, nigdy nie dowie się, co to szczęście”).

Wtedy w bremeńskiej katedrze, pod opuszczonymi powiekami, przewinęły jej się obrazy ostatnich lat życia w pośpiechu, coś, czego nie potrafiła dokładnie określić, zniknęło z niego w ciągu tych kilku lat, a jej tego czegoś nienazwanego, ale wcześniej poznanego, przeżywanego i odczuwanego, brakowało, próbowała zawrzeć układ (z sobą, losem,

siłami, które kreśliły linie jej życia), tu, w obcym mieście, odległym, bogatym, w przerwach między wykładami i dyskusjami na uniwersytecie, tu, w monumentalnej gotyckiej katedrze, zanurzona w półcieniu i muzyce, pochwyciła przekaz, który być może sama do siebie już od dłuższego czasu wysyłała, lub chociaż część tej wiadomości, poczuła nieprzepartą potrzebę zawarcia takiego układu

(może przeczuwała, co się w niej szykuje, ku czemu chyli się jej ciało?).

Chwilę, kiedy w katedrze zniecka rozbrzmiały organy, to, jak siedziała z głową w ramionach i bezwiednie mocno splecionymi palcami, przypomniał sobie jeszcze kilkakrotnie, wspomnieniu zawsze będzie towarzyszyło poczucie czegoś dziwnego, rzekłaby nawet, że tajemniczego, wyprostowana na łóżku rozpoznaje w sobie jego ponowną obecność, ostrożnie wykonuje wdech, jeszcze głębiej i głębiej, już może, oddycha spokojnie, do żyły drobnymi, prawie niezauważalnymi kropelkami spływa roztwór do infuzji.

* * *

Wspomnienia zaliczają się do najbardziej zaskakujących przygód, jakie istnieją, napisała Catarina Carsten, wspomnianie za pośrednictwem pisania: odkrywanie zapomnianego w zapamiętanym, pisanie jako próba powrotu do nieodwracalnego, jak wymawianie na wpół zapomnianego czy przeczuwanego, jak poznawanie swojej głębi, usilne poszukiwanie słów, by opisać to, co podważone przez czas drży w pamięci na cieniusieńkich nitkach niszczonego wspomnienia lub pokrytego czasem pragnienia.

* * *

Po raz pierwszy zadzwonił do ich bramy właśnie tego lata, kiedy kupili dom na wsi, czarny jak węgiel, tylko włosy siwe, z twarzy nie sposób było odczytać wieku, mógł mieć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat, chudy, przygarbiony, w potarganych łachmanach, z brodą sięgającą do piersi, w pierwszej chwili pomyśleli, że pomylił bramę i chciał pójść do sąsiedniego domu, do babki B., należącej do rodu, niezmiernie sumiennej, porządnej, najczęściej krzątającej się z miotłą lub ścierką w ręce, sąsiadko, wołała zza płotu, nie chce pani jajek, tyle, co zniosta, w sklepie pani takich nie dostanie, albo: sąsiadko, jakby miała pani w domu jakiś stary płaszcz, cokolwiek, niech pani nie wyrzuca, niech pani przywiezie, sąsiadko, dlatego w pierwszej chwili pomyśleli, że chciał zadzwonić do babki B., z którą nieraz wymienili parę zdań, każda po swojej stronie płotu, o mężu, który ją bił, jak sobie wypił, albo jak mu się zrobiło żal, że mu nie urodziła dzieci, cygańska rodzina i bez dzieci, jak sobie przypomniał, to bił mnie gdzie popadło, okazało się jednak, że przyszedł do nich, panie Milanie, zwrócił się do męża, jak tylko otworzył bramę, potrzebuję pieniędzy, V. spojrzął zaskoczony na gościa, nie nazywam się Milan, chyba nawet się nie znamy, jak to nie, przecież ja pana znam, ale ja nie jestem żaden Milan, jak to nie, oczywiście, że tak, powtarzał uparcie przybysz, nagle mąż doznał olśnienia, niech pan postucha, chyba mnie pan z kimś pomylił, tak chyba nazywał się poprzedni właściciel, a pieniądze..., ale ja pilnie potrzebuję, panie Milanie, imię nieważne, bardzo

pilnie potrzebują pieniędzy, wyglądało na to, że tak łatwo się nie podda, opierał się o bramę, trochę wyniośle, później babka B. wszystko im wyjaśniła, Lele często tu zaglądał, od tego, co tu mieszkał przed nimi, dostał jakąś pracę, a później pieniądze, ale lepiej z nim nie zaczynać, on jeszcze jako tako, ale jego syn, Palica, tak go nazywają, bo jest chudy jak patyk, siedział w kryminale, nie puszczajcie ich do siebie, wiecie, są dobrzy i źli Cyganie, stary Lele nikomu by krzywdy nie zrobił, ale Palica, na niego trzeba uważać, mówię wam, V. ostatecznie znalazł dla Lelego jakąś pracę w ogrodzie, raz, drugi, trzeci, później odwiedzał nas już regularnie, co weekend, za to, co zrobił, dostawał pieniądze, chleb, kielbasę, stare ubrania, niech pan da, panie Milanie, wszystko się przyda, nie podobało jej się to, ale V. się upierał, lepiej, żeby zarobił, niż żeby miał żebrać, trzeba ich przyzwyczajać do pracy, przyznała mu rację, wreszcie przywykli do niego, a pakując się w domu na weekend, wyjmowali rzeczy z szaf, spiżarni i szykowali dla Lelego i jego rodziny, oni też są częścią wsi, w której mają weekendowy dom, można powiedzieć, że tworzą wspólnotę.

* * *

W dzieciństwie miała taką dziwną fantazję: gdzieś na świecie żyje istota, która wie o wszystkich jej problemach, która potrafiłaby jej poradzić, jak je pokonać, byłaby jej w stanie zawsze podpowiedzieć właściwe decyzje, bez względu na to, czy dotyczyłyby drobiazków, spraw banalnych lub kwestii życiowych, niezmiernie mądra istota, która umiałaby się wczuć w jej sytuację, niczego by jej nie musiała wyjaśniać, rozumiałaby ją bez słów, może nawet te rady obyłyby się bez słów, w każdym razie mogłaby na nich polegać, wierzyła w istnienie takiej istoty-pomocniczki, może trochę ludzkiej, trochę nadczłowieczej, ale nie wiedziała, gdzie miałaby jej szukać, w której części świata, w jakim jego wymiarze, nawet później, w okresie dojrzewania czasami przypominała jej się tamta fantazja, nie była związana z wiarą, istota-pomocniczka przypominała raczej istotę bliźniaczką, za którą nieraz bardzo silnie tęskniła, może właściwie bliźniaczka mogłaby w pewnych sytuacjach być pomocniczką i odwrotnie, czasami mogłyby się zespolić, chociaż oczekiwała od niej pomocy przede wszystkim w kwestiach praktycznych, podstawowe zadanie ich obu było bardzo podobne, niemal jednakowe: zmniejszyć poczucie samotności i odpowiedzialności za decyzje, przed którymi stała, ale chyba jednak przede wszystkim pomóc uporać się z poczuciem samotności, przytłumieniem negatywnych uczuć, że prawie nic, co robi, nie ma sensu, że z jej życia wylał się sens, jeśli w ogóle kiedyś tam był, jakby wyciekł, zostało tylko puste naczynie: dotykała jego dna własnym wnętrzem i była wobec tego faktu bezbronna, czasami przypomina sobie o nich, teraz też, o tych swoich dwóch istotach, zajmujących miejsce w pamięci, pokrytych tyłoma warstwami, zostały już tylko blade, skurczone cienie, częściowo w tekstach, nawet jeśli o nich nie myślała, nagle pojawiały się, dostrzegła je między słowami, na końcu zdań.

* * *

Poeta, rówieśnik, z którym nieczęsto się spotykała, powiedział jej pewnego razu, że ma niewiarygodnie młode ręce, siedzieli obok siebie na spotkaniu literackim w Düsseldorfie, czytali na zmianę z niemieckimi kolegami, przedstawiali swoje wiersze, opowiadania, fragmenty powieści, esejów, słuchali, dyskutowali, ręce ponoć wiele mówią o duszy, powiedział jej później, zaoponowała, moja dusza zdżyła się już zestarzeć, może jeszcze bardziej niż ciało, powiedziała, niekiedy wydaje się zupełnie pomarszczona, pokryta niezliczonymi warstwami, które na siebie nachodzą, wciskają się jedna w drugą, pokurczone, wysychające, przywiedłe, ale twoje ręce mówią coś zupełnie innego, powtórzył, nawet nie mogę ich porównać ze swoimi, wyciągnął dłonie przed siebie, żeby mogła je obejrzeć, naznaczone życiem, pokreślone zmarszczkami, pokryte plamami, wysuszone, jak dusza, powiedział z nutką sarkazmu, kilka miesięcy później poeta zmarł, zupełnie niespodziewanie, ponoć nad ranem, przy poprawianiu kartkówek, kiedy się o tym dowiedziała, sięgnęła do półki po książkę z jego najnowszymi wierszami, ale między słowami wciąż prześladował ją obraz, jak siedząc na sąsiednim krześle w Domu Hauptmanna, wyciągnął ręce przed siebie, pomarszczone, pełne plam pigmentowych, jak dusza, powiedział, poznaczone starością, jakoś przedwcześnie (przedwczesność, o której nie wiemy z góry, przychodzi jej do głowy: zawsze po fakcie), ale nauczyć się patrzeć na życie (również własne) jak na nic, która w każdej chwili może się zapętlić albo przerwać: nurt, który w każdej chwili może się zatrzymać, czy człowiek pisałby inaczej, gdyby wiedział, że pisze swój ostatni tekst? (wartość całego czasu, także w jego ułamkowości, zwłaszcza w niej), wraca do niej obraz dwóch wyciągniętych dłoni, z ręki można przeczytać duszę, wierz mi, mówi poeta z sąsiedniego krzesła.

* * *

Ktoś podarował jej antologię japońskiej poezji klasycznej z przełomu I i II tysiąclecia, już kilka wieczorów czyta wiersz o sercu, które umiera wciąż na nowo, pojęcie ciężkiego umierania ewokuje w niej wyobrażenia, których korzenie tkwią w europejskim myśleniu, odmiennym rozumieniu życia, śmierci, czasu, intuicyjnie wyczuwa tę różnicę, niemożność wejścia w pierwotny tekst, w pierwotny obraz świata, prawie namacalnie wyczuwa niepewność, która pozostawiła ślad na przekładzie: podwójna zdrada słowem, badanie przestrzeni między znakami i składnikami bytu, które uparcie im umykają (wątpliwości co do adekwatności słów przesypujących się między palcami jak nieposłuszne ziarna, ześlizgują się z języka, pogubione, a przede wszystkim obce).

* * *

Ostrożnie wysypuje z dłoni do ziemi drobne, okrągłe nasionka, grządki są wilgotne, ciepłe, uważa, żeby nasionka spadały na ziemię w jednakowych odstępach, fantazja kreśli przed oczami obraz pędów, coraz większych listków, łodyżek pnących się w górę, rosnących w siłę zarodków uobecnionego Bytu, cała natura jest jego uobecnieniem, ona sama jest Obecnością, pisze Jean-Yves Leloup, francuski filozof i ksiądz prawosławny,

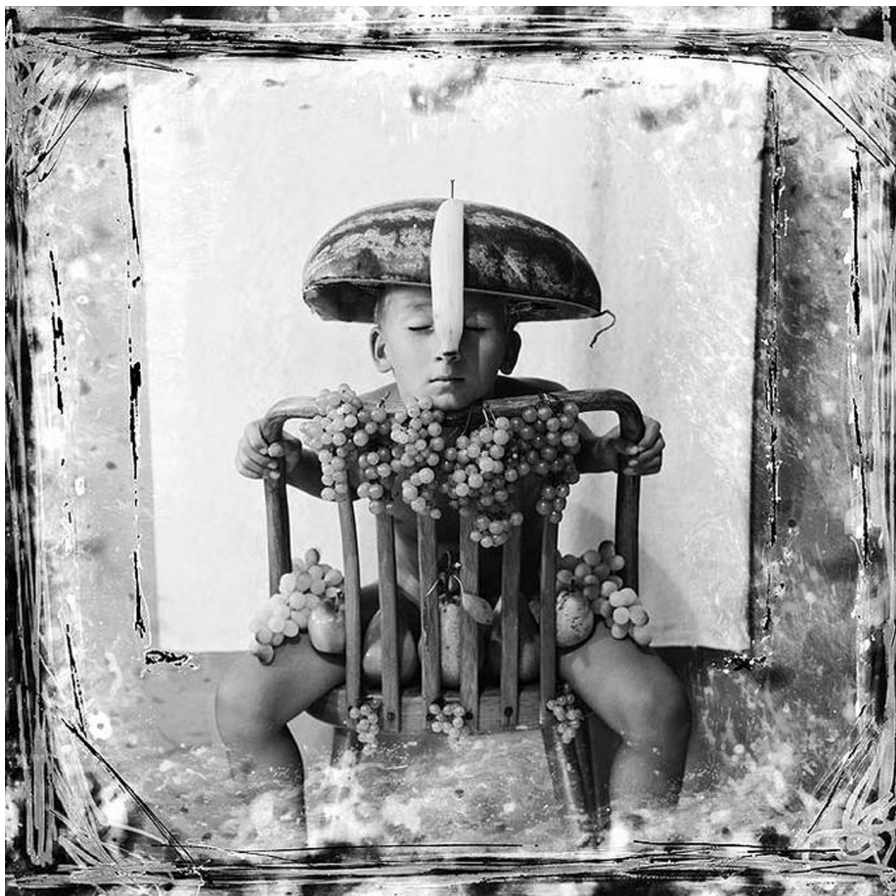
który wcześniej był dominikańskim mnichem, a jeszcze wcześniej ateistą, wyznawcą buddyzmu, jednak najsilniej przemówiło do niego chrześcijaństwo wschodnie, według tego filozofa-księdza Byt w roślinach jest obecny jako ukierunkowanie, ukierunkowanie na światło (Leloup uważany jest za jednego z prekursorów nowej duchowości, duchowości na nowe stulecie), wyobraża sobie, że takie ukierunkowanie zaczyna się w chwili, kiedy z nasionka powstaje zarodek roślinki, może od pierwszego zetknięcia nasionka z ziemią, może jeszcze wcześniej, jakby już teraz poczuła na dłoni odrobinę tego ukierunkowania na światło, jakby do jej linii życia na dłoni przenikały drobne cząsteczki światła, sztuka rozpoznania Jedynego pod różnymi postaciami (motyw, który zachowała we wspomnieniach rozmów z mamą, była wówczas zbyt młoda na takie rozmowy, nie wykazywała zainteresowania, choć widziała, że mama była zawiedziona, tak bardzo chciała jej przekazać to, w co sama wierzyła, do czego dochodziła, długo, stopniowo, chciała jej oszczędzić drogi), Leloup pisze o sztuce „uprawiania Bytu”, od razu spodobała jej się ta ogrodowa metafora, najczęściej przypominała sobie o niej w chwilach podobnych do tej (metafora, która nadaje pracy na ziemi zupełnie nowy wymiar: uprawiać Byt jak cenną roślinę, każdą roślinę traktować jak część Bytu), im bardziej zbliżamy się do środka, tym bardziej zbliżamy się do innych ludzi, pisze francuski filozof i teolog w eseju o czterech wielkich nieuchronnych pewnikach, których nikt nie może uniknąć (podoba jej się wizja świetlnego okręgu, z wizją takiego okręgu, którego środek lub choćby niedalekie punkty są osiągalne, można łatwiej pokonywać własne dni, ale do migotającej wizji wkrótce wkrada się sceptycyzm, czy środek nie jest bardziej iluzją niż czymś rzeczywiście istniejącym, co więcej, dokładnie usytuowanym punktem: gdzie go szukać, w jakim stopniu na nim polegać)... kluczy nad grządkami, zaczyna od jednego końca, mąż od drugiego, chwilami zbliżają się do siebie, spotykają po środku grządki, zamieniają parę słów, w większości praktycznych rad, nieznaczny uśmiech lub skinienie głową, zadowolenie, że mogą kontynuować pracę, później znów oddalają się, obrzęd sadzenia, uobecniania, odczuwanie potencjalnego ukierunkowania w linii pionowej, do możliwego źródła światła...

* * *

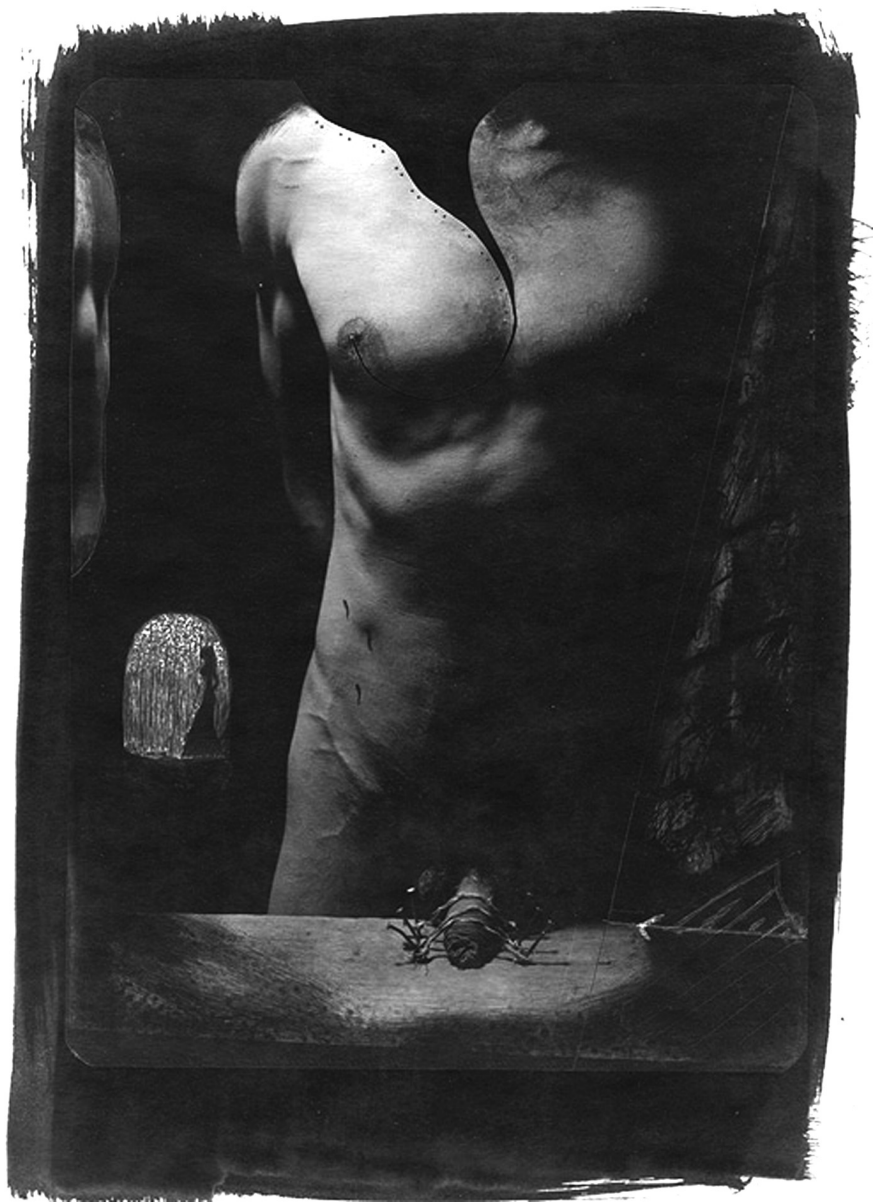
Niekiedy jej palce niespodziewanie rozpamiętują dotyk innej klawiatury, klawiatury ich dawnego fortepianu, dziecinne wspomnienie przemienia się w pragnienie przebiegnięcia po oktawie, otwarcia skrzydła, opuszczenia przestrzeni ograniczonej bakelitową obudową komputera i ucieczki w przestrzeń przeczuwanych tonów, delikatnymi opuszkami już prawie wyczuwają akordy, przyspieszają tempo, zmieniają rytm będący zapowiedzią muzyki, która jest niemal na wyciągnięcie ręki, chciałyby się wznieść: oddać się jej, przeczuwanej, później, już w przestworzach, na krótką chwilę znieruchomieć (oczekiwanie spełnienia wzmagającego się pragnienia, pełni), przenika ją bezkresny żal, przewiduje ich powrót, wie, że chwilowo zastygłe w bezruchu, znów powrócą do klawiatury, z której mogą wydobyć słowa, tylko słowa, mimowolnie przypomina sobie słowa włoskiego pisarza, śpiew, śpiew najwyraźniej mógłby być jedną z możliwości przekroczenia granicy,

która ją zniewala, krępuje jej skrzydła, szkoda, naprawdę szkoda, że nie umie śpiewać, ludzki głos, jego melodyjne drżenie, ekstatyczne wibracje pomiędzy meandrami tonów: jedna z dróg, którą tak chętnie by się udała, jest prawie przekonana, że muzyka przypomina środek komunikacji wyższych, o wiele doskonalszych cywilizacji niż ludzka, absurdalna myśl, której jednak nie odrzuca, istota, doskonalsza niż człowiek, myśli czasami, takiej istocie na pewno nie wystarczą słowa, istota, która ukierunkowuje się na muzykę, jednoczy się z nią i w nią przemienia...

„Romboid” 2008, nr 8.



Zdjęcie Rast'o Čambál



Zdjęcie Rast'o Čambál